
Strony internetowe Roberta Kolebuka

✉ kolebukr@poczta.onet.pl ✉

Tadeusz Nowak

Takie większe wesele

Kraków 1966

Spis treści:

- **Rozdział 1**
- **Rozdział 2**
- **Rozdział 3**
- **Rozdział 4**
- **Rozdział 5**
- **Rozdział 6**
- **Rozdział 7**
- **Rozdział 8**
- **Rozdział 9**
- **Rozdział 10**
- **Rozdział 11**
- **Rozdział 12**
- **Rozdział 13**
- **Rozdział 14**
- **Rozdział 15**
- **Rozdział 16**
- **Rozdział 17**
- **Rozdział 18**
- **Rozdział 19**
- **Rozdział 20**
- **Rozdział 21**

1

Od rana nachylałem potraw. Wyciągałem go grabiami z resztek synu i cienia, roztrzasał równiutko w zielonym i gryczanym słońcu. Potraw spadał poprzez sieć babiego lata w wiklinowy kosz wrześniowej pogody. Od tego roztrzasań potrawy bolały mnie ręce, zdawało mi się, że cała moja szyja, wyciągnięta do indyczej szyi, jest w miedzianych obręczach. Nic dziwnego.

Wczoraj sołtys z żydowskiego miasteczka przywiózł całą furę jakichś przedziwnych instrumentów. Organista powiadał, że to harfy. To kto chciał, brał te harfy. Ja też wziąłem jedną. A ponieważ nie umiałem na niej grać, przeto przemyślałem, jak ją najlepiej spożytkować w gospodarstwie.

Akurat mieliśmy wywozić gnój na to pszenne pole pod lasem. To pomyślałem sobie, że zamiast roztrzasać gnój widłami, łatwiej go będzie przesiać przez harfę. Jak umyśliłem, tak też się stało. Ojciec woził gnój, ścigał go z gnojnic na podstawioną harfę, a my z matką potrząsaliśmy nią, rozsiewając to gorące bydlęce łajno na kiszkwate pole.

Gdy gnój był wywieziony i rozsiany po całym polu, przypomniałem sobie, że niegdyś król Dawid grywał na takiej harfie i śpiewał swoje psalmy, od których do dziś huczy kościół i przelatują przezeń smaki i dziwaczne stwory. Ale król Dawid zjawił mi się za późno, bo już przez harfę przesialiśmy bydlęcy gnój i pszenne pole pod lasem było zaorane i gotowe na przyjęcie ziarna. A również sąsiedzi, widząc nasz pożytek z harfy, nie omieszkali tym samym sposobem ulżyć sobie w trudzie. Toteż wokół naszego pola przesiewano gnój przez te harfy przywiezione z żydowskiego miasteczka przez sołtysa. I zaorano je, i przygotowano na przyjęcie ziarna.

Wprawdzie po przywiezieniu harfy do domu obmyłem ją do czysta w drewnianym korycie, z którego poi się bydło, i zagrzebałem ją w zapolu pełnym czerwcowego siana, aby wyschła, ale i tak nieustannie zjawiał mi się król Dawid z rękami położonymi na jej ugnojonych strunach. Dopiero kiedy przypomniałem sobie Hioba leżącego na parującym gnoju, przestałem widywać króla Dawida z rękami położonymi na harfie. Widocznie trzeba było, aby ten zaparzony gnój, gorący jak wysypany z popielnika wieczorny popiół, na którym leżał Hiob i ci żebracy z przetrąconym kulasem, z wyjedzonymi przez raka ustami, był choć raz przesiany przez tę harfę przywiezioną z żydowskiego miasteczka, na której niegdyś położył swoje ręce król Dawid.

I do tej pory bolą mnie ręce od tego potrząsania harfą i szyja moja wydłużyła się indyczo, tak że można na nią nakładać choćby sto miedzianych pierścieni.

Obok mnie, gdyż ścieżka prowadziła przez naszą łąkę, przechodzili ludzie. Widziałem ich z daleka. Wydawało mi się, że z dalsza aż w czerwcu tego roku, niż w jesieni ubiegłego roku. A nie urosłem przecież. Miesiąc temu mierzyłem się pod sadem. Nadal sięgałem ręką po koronę starej jabłonki rosnącej przy studni. A stara jabłonka nie rośnie. Raczej co roku, pod ciężarem owoców, wchodzi w ziemię. Więc to dalekie spostrzeganie ludzi mających przejść pod las przez naszą łąkę zwałąłem na wyciągniętą nadmiernym wysiłkiem szyję.

Ta wyciągnięta szyja miała też swoje zalety. Poszerzała widnokres zatoczony przede mną aż po nasz biały dom oparty o naddunajeckie wiklinowe, jesionowe i akacjowe zagajniki. Po prostu mogłem teraz patrzeć, gdyż łąka wspinała się na drobny pagórek ponad koronami wierzb i pomniejszych osik. Jeszcze ubiegłego roku na wysokości moich oczu była ta

drobniutka siatka, to liściaste, a raczej pajęczne gniazdo drozda czy krawczyka, uwite z wierzbowych i olchowych gałązek. A ponieważ mogłem widzieć ludzi z większej odległości niż kiedykolwiek ubiegłego roku, zabawiałem się go trosze, starając się odgadnąć ich imiona, nazwiska i przydomki - po chodzie, po ubiorze, po załamaniu kapelusza czy też krymki. I wiedziałem już, jakim słowem mnie pozdrowią, przechodząc przez naszą łąkę. I zapomniałem po trosze o moich wywichniętych ze stawów rękach i wydłużonej nadmiernie szyi.

Wtedy ci rozpoznani znacznie wcześniej przeze mnie ludzie przechodzili tuż obok mnie. Przystawali na chwilę, na małą pogaduszkę. Pozdrawiali mnie bożym i fikuśnym słowem. I wszyscy radzi byli pochwalić mnie za to, że te harfy przywiezione przez sołtysa tak zmyślnie spożytkowałem w gospodarstwie. Z tego też powodu poniekąd, zwłaszcza ci, którzy jak ja zabrali po harfie od sołtysa, płacąc za nie po stówce, przysiadali koło mnie na podgarniętym przeschniętym sianie. Wyciągali kapciuchy z tytoniem, bibułki i zapalniczki zrobione z gilzy, częstowali mnie papierosem. Ćmiliśmy tę zasadzoną po raz pierwszy w naszych stronach machorkę; pachnącą upalnie jak ciało leżące przy skoszonym żniwie. Oni rozcierali w palcach źdźbła mateuszki, liście podbiału i skrzypu. Wąchali z lubością ten rozarty na proch roślinny ludek, wciągając w nozdrza jego zapach przesycony saletrą, solą i żelazem spadającym z burz sierpniowych. A ja w tym czasie myślałem o tych rękach Dawida położonych na ugnojonej harfie, o Hiobie leżącym na pagórze nawozu i o moich wywichniętych rękach roztrząsających na tej harfie to bydłce łajno.

Ale gdy się podnosili z potrawu i odchodzili w stronę pobliskiego lasu, na powrót czułem niemal całą skórą zapach trzeszczącego chrupko wrześniowego siana. Zapach ten, mieszający mi się nieustannie z zaduchem obory, wyprężniętych z weselnego wózka koni, kotnych kóz i owiec, był niemal widoczny nad łąką. Rozlewał się szeroko i wspinał jeszcze wyżej po roślinnych łodygach wrześniowej pogody. Zresztą pogoda była jakby zdjęta prosto z suchej igły, gdyż żaden ptak ani ćwierknął, ani nakłutł dziobem zielonego rdzenia deszczu. I byłem zanurzony aż po dziurki w nosie w tym zapachu, w tej pogodzie trzeszczącej nade mną.

Z wywichniętymi rękami, z wyciągniętą szyją, odurzony zapachem schnącego potrawu, zasypiałem prawie na stojąco. I w tym półśnie widziałem jeszcze dalej, niemal po żółtko - gdyż nasza wieś miała kształt ptasiego jaja - naddunajacką okolicę. I zdawało mi się, że przez naszą łąkę przechodzi cała moja wieś ubrana odświętnie w czarne surduty, w krakowskie spódnice, w palone buty i czerwone trzewiki sznurowane wysoko.

Przed nią szedł król Dawid, niosąc w ramionach harfę i śpiewając psalmy. Od tych psalmów zmierzchało się nad łąką i stwory rozliczne, świecące jak piaszczyste dno Dunajca, przelatowały po niebie. Za Dawidem szedłem ja z matką i przetrząsałem przez harfę gnój. I inni we wsi szli za nami, przetrząsając gnój przez tę dawidową harfę. Ci zaś, którzy nie mieli harf, siali

w ziemię ziarno lub rzucali w psalmy dawidowe sprężynowe noże, grypy, siekierki toczone na polnym kamieniu, na kawałku cegły.

Gdy się budziłem, gdy otwierałem oczy, nie dziwiłem się tym obrazom widzianym w półśnie. Zawsze na tej łące dostawałem ptasich skrzydeł, dereniowych gałązek. Ulatywałem na tych ptasich skrzydłach, zieleniłem się w tych dereniowych gałązkach. I byłem po trosze podobny do tego głupka ze wsi próbującego odlecieć w złotą jamę jutrzni, po trosze do wigilijnego drzewka kraczącego do wsi na koślawej nodze. I poruszało się wszystko we mnie jak woda przepływająca przez dłonie paproci.

W tej półdrzemce zdążyłem jeszcze podgrabić potraw. I położyłem się na nim, podciągając kolana wysoko pod brodę. Widziałem jeszcze, że sen dopędza moje ciało szybciej od ognia skaczącego po zeschniętych kitkach. I jeszcze wiedziałem, że wszedłem głęboko w ten sen, spostrzegając na dnie mojego ciała, gdzieś koło wątroby, tę rybę stojącą nieruchomo w rzeczonym ziele. Zawsze, osuwając się w sen, widywałem tę rybę stojącą nieruchomo w rzece.

I wtedy przybył do mnie koń. Sam koń. Bez jeźdźca. Bosy koń puszczone bez wędzidla, uprzęży, siodła, nawet bez postronka pętającego mu przednie nogi, koń puszczone na równinę, na pagórki, nabór. Leciutko trącał mnie nozdrzami w ramię. Rżał. W jego rzeniu przesypywał się owies przemieszany z jutrznią. Sięgałem ręką za siebie. Koń klękał na kolana. Z jego ucha wyciągałem list. Siadałem w podeschniętym sianie, rozpościerałem list na kolanach, wygładzałem go koniuszkami palców. Czytałem. Pisała w nim księżniczka łacińską literą zdobioną roślinnie. Pisała na pergaminie cieńszym od skóry moich rąk, od skóry mojego brzucha, abym na koń wsiadał, ostróg nie żałował (jakie tam ostrogi, chyba pięć, mój Boże) i przez bór, po wzgórzach do jej zamku pędził.

I jechałem do niej. Koń pode mną stękał, śledziona mu grała i spadały z niego, jak ze skrzydła ogromnego kruka, białe płaty potu. Już byłem na wzgórzach, już wdziałem zamek poprzez końskie uszy, już końskie kopyta po mostku bębniły, kiedy się zbudziłem. Nade mną klęczała sołtysina. Na moich kolanach leżał liść podbiału.

- Franuś, Franuś - krzyczała. - Bój się Boga, Franuś, w świeżym sianie śpisz. W taki upał. Jeszcze ci się coś złego stanie. Już myślałam, że ci się co stało. Potrząsałam cię za ramię, za włosy targałam, a tyś ani się poruszył, aniś się odezwał, jakbyś był pod wodą. Myślałam, żeś pamięć stracił. Albo będziesz spał przez tydzień jak nasz ojciec. Baliśmy się, że zemrą. Przez sen, podważając im nożem zęby, karmiliśmy ich kozim mlekiem. Gdy się po tygodniu przebudzili, zaczęli na nas krzyczeć. Tak dobrze im w tej drzemce było. Powiadali, że byli w Wiedniu u cesarza. Gościł ich w pałacu. Ze złotych talerzy jadali, wino reńskie z kryształów czeskich popijali. Tom myślała, że z tobą stało się to samo.

Podobała mi się ta młodziutka sołtysina. W chusteczce zawiązanej z tyłu głowy, w czarnej bluzce zapinanej na zatrzaski, z drobną twarzą wypłoszoną

ze snu czy też z majowego deszczu. Spoglądała na mnie wprost spod słońca nadal zielonego, przesianego przez gałązki rosnących. obok łąki wierzb. Po jej włosach, a raczej po kosmyku włosów wysuniętych spod chusteczki nad wypalone z białej gliny czoło, szedł wieczorny żuk. W żnichwach niósł ziarenko trawy. Dźwignąłem się na łokciach. Podniosłem rękę. Chciałem zdjąć z jej włosów wieczornego żuka.

Wtedy ona pochyliła się nade mną. Pocałowała mnie w usta. A kiedy pod nią opadłem z powrotem w potraw, szła tymi ustami wykrojonymi ze szczawiu, z dzikich jabłek i z laskowych orzechów, szła po moich oczach, po czole, po szyi, po moich rękach rozrzuconych na krzyż szła. I znowu zaczynała od ust i od oczu. I znowu. I znowu. Gdy się zacząłem bronić, bo się dusiłem zagrzebany w sianie, w pocałunkach, w piźmie jej rozgrzanego ciała, usiadła obok mnie. Spojrzałem w jej twarz. Było w niej coraz więcej snu i deszcz majowy pełen żółtych listków przelatujący przez jej oczy, spływał tętniącą łodyżką pod jej obojczyki. Z głowy spadła jej chusteczka. Włosy związane jedwabną tasiemką opadły na jej plecy. Sfrunął z nich wieczorny żuk. Za jej plecami w lesie, początkowo drobny jak ziarenko soczewicy, rozrastał się zmierzch.

- Franuś, gniewasz się na mnie?

Potrząsnąłem głową, żując źdźbło potrawu. Pogłaskałem ją po rękach. W zeszłym roku w zimie widziałem, jak tymi rękami obcinała mirt w doniczkach. A później ją widziałem, jak w tym mircie na głowie, w śniegu sypiącym od rana, szła prowadzona przez starszego družbę do zaprzężonych w kare konie sani. Za nią szedł ten stary sołtys, który wczoraj przywiózł z żydowskiego miasteczka harfy. Szedł w butach z cholewami, w rajtkach, w kupionym za ćwierć pszennej mąki futrze. Na ganku stała cygańska muzyka. Przygrywała. Sołtys szedł kogucim kroczeniem po tej sypiącej się jak złodowaciały szron muzyce. Szedł do tych sani zaprzężonych w kare konie, do tej dziewczyny o twarzy wypłoszonej ze snu czy też z majowego deszczu. Ona w tych saniach płakała. A on szedł weselnie. Ona rękami zasłaniała oczy. A on podkówkami dzwonił. Ona paznokciami welon rozrywała. A on szedł kogucio. Strząsał śnieg z rękawów, z siwiejącej głowy, z wąsów usztywnionych dziegciem.

I widziałem jak ta cygańska muzyka stojąca na ganku malowanym zielonym lakierem, oszklonym witrażowymi szybkami, wyjętymi z ganku żydowskiej apteki, schodzi stopień po stopniu w sypiący od jutrzni śnieg. Jak dochodzi do sani ustawionych rzędem pod wierzbnami na błoni. Urywa się nagle, sadowi do pierwszych sani i gra weselnego marsza. Konie, jakby stojące na melodii tego weselnego marsza, z miejsca przeszły w kłus. Odezwała się wyszywana miedzianymi blaszkami uprząż, zadzwoniły dzwonki wiszące u chomał, zahuczała palba z korkowców i ze sznurkowych batów, mignął mirt i różdka. I śnieg ich zasypał.

A teraz głaskałem tę młodą dziewczynę, tę pierwszą we wsi gospodynię, tę sołtysinę - po wypłoszonej ze snu czy też z majowego deszczu twarzy, dotykałem palcami jej ust wykrojonych z listków szczawiu, dzikich jabłek,

laskowych orzechów i mówiłem do niej, ciągle coś mówiłem, nie mówiąc ni słowa. Och, jak ja do niej mówiłem, nie mówiąc ni słowa. I mówiłem do niej mówiąc, pociągając ją za włosy, za te kute ze srebra kolczyki wiszące z jej uszu.

- Źle ci z nim, frajerko, frajereczko. Źle ci z nim, gospodyni, gosposiu, źle ci to, sołtysko, sołtysino. W pierzynach się leżysz, brzusek sobie grzejesz i o chłopcach gibkich nieustannie marzysz. Źle ci to, frajerko? Staruch jak kogucik koło ciebie skacze. W mleku by cię kąpał, poduszką podcierał, kościół z białych serów postawiłby tobie. Źle ci, kochaneczko? Staruch jak szczygiełek koło ciebie skacze. Zwozi ci z miasteczka jedwabne spódnice, jedwabne koszule, byś się przy nim w nocy o len nie drasnęła. Kolczyki ci zwozi, pierścionki, zegarki. Chodzisz w tym jak obraz płynący w procesji.

Pogłaskała mnie po głowie. Jej ręce zesły niżej. Na oczy, na usta. Spotkały się na mojej szyi. Ścisnęła je mocniej. Zatrzeszczały suche palce. Zaczęłam się dusić. Zabolęła mnie grdyka. Spoglądałem w jej twarz. Ulatywał z niej sen i majowy deszcz. Jej twarz była rzeką, gdzie się sypie popiół.

Wtedy przyciągnąłem ją do siebie. Całowałem ją po twarzy, przez którą przepływała rzeka unosząca popiół. Chciałem trafić na jej usta. Ale wystraszyłem się tych ust rozchylonych jak ryba wyciągnięta na piaszczysty brzeg. Ominąłem je. Szedłem ustami po jej szyi, po jedwabnej bluzce.

Rozrywałem zatrzaski. Całowałem ją po piersiach. Czułem, jak jej ręce zaciśnięte na mojej szyi rozluźniają się po jednym, po dwa palce. I jej ręce szybsze od suchego ognia rozpinają z haftek jedwabną spódnice, odejmują koszulę. Nagość jej błysnęła jak rzucony w drzewo sprężynowy nóż.

Leżeliśmy w zmięczeniu. Skóra jej pachniała koprem i anyżkiem. Patrzyłem na nią uniesioną na łokciach. Jej twarz na powrót była wypłoszona ze snu czy też z majowego deszczu. Ale za tym snem czy też deszczem ciągle przepływała ta rzeka, do której zsypuje się popiół, rzucała się ta ryba wyjęta na piach. Po jej wypukłym czole wypalonym z białej gliny szedł wieczorny żuk. W żuchwach niósł ziarenko trawy. Szedł z tym ziarenkiem na północ. Tam, gdzie rzucała się wyjęta na piach ryba, gdzie przepływała ta popielata rzeka, gdzie była jej potylicą, gdzie stał Wielki Wóz.

Gdyśmy się rozeszli, nad łąkami zmięczył już Iniane płótno. Sołtysina poszła przez wieś. Ja kierowałem się na widoczną w wieczornej zorzy kościelną wieżę. Szedłem przez to Iniane płótno, przez osiczyne, przez chrust. Przeskakiwałem przez rowy pełne czarnej wody porośniętej rzęsą. Zewsząd, od tej wody, od osiczy, od chrustu ciągnął chłód. Na tym chłodzie, na sitowiu tego chłodu, stało wieczorne niebo. Wygwieżdżone, rozjechane w tysięczne koleiny przez Wielki Wóz, przez chłopskie drabiniaste wozy, wasażki i weselne bryczki, stratowane racicami wyganianego na pobliskie błonia bydła, przebodzone na wylot rogami, pocięte kozackimi szabłami, popękane od austriackich szrapneli.

To niebo było zawsze takie samo. Odkąd zacząłem pod nim suszyć siano, odkąd na moich policzkach namacałem puch. Odtąd wylegiwałem się

na tym sianie. Na to siamo przychodziły dziewczęta, młodziutki mężatki wydane za wdowców. Opowiadały mi o ułanie, o starocie, o księciu. Opowiadając całowały mnie w usta, ciągnęły za włosy, za uszy. Wtedy ja zaczynałem im opowiadać o koniu, o ułańskiej szabli, o zamku, o księżniczce. Całowałem je w oczy, rozpinalem im bluzki na zatrzaski. Zawsze na zatrzaski. I nie wiem, skąd to przyszło na mnie. A może przyjechało w kramarskim wasążku, rozkręciło się na odpustowej karuzeli. Ale chyba ani nie przychodziło na mnie, ani nie przyjeżdżało do mnie. Najwidoczniej ktoś, kogo pamiętam, a raczej sobie przypominam jak cień w zmierzchu, włożył mi ten talent - to czerwone jabłko - tę smykałkę do tego wszystkiego, co czyniłem na łąkach - do ust i do bioder. Nawet matka to spostrzegła. Powiadała, że to wszystko przez to, iż proboszcz na chrzcie zamiast soli wsypał mi w usta cukru. Już ja widzę ten cukier. Nie uwierzę, aby proboszcz aż tak się pomylił. Zawsze był sknerą. Nawet przed wojną udzielał wikarym do kawy po łyżeczce końskiego cukru lub po dwa ziarenka sacharyny.

[Spis treści](#)

Komentarze dotyczące mojej witryny można wpisywać w [Mojej księdze gości](#)
